

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Wojciech Gerson.

Dnia 25 lutego r. b. zmarł w Warszawie znany artysta-malarz i profesor Wojciech Gerson, który dla sztuki polskiej w ciągu swego życia położył wielkie zasługi. Przed dwoma laty zamieściliśmy w „Wieczorach” szkic historii malarstwa naszego, pióra p. W. Marenowej, i czytelnicy nasi dowiedzieli się zeń, że właściwy świetny rozwój sztuki polskiej rozpoczął się od połowy XIX-go wieku, kiedy pojawili się genialni artyści, jak Matejko i Grottger, i cały zastęp utalentowanych malarzy. Pierwszym w ich rzędzie był właśnie Wojciech Gerson.

Urodził się d. 1-go lipca 1831 r. w Warszawie. Pochodził z rodziny francuskiej, oddawna osiadłej na polskiej ziemi, gdzie dziad i pradziad jego byli ludwisarzami królewskimi. Po skończeniu gimnazjum uczęszczał do szkoły sztuk pięknych i już wówczas, ukochawszy wszystko co swojskie, przebiegał z teką i ołówkiem różne zakątki kraju, gromadząc pamiątki historyczne, krajobrazy, typy i ubiory ludowe, które wydał w osobnym zbiorze p. t. „Ubiory ludu polskiego.” Następnie ukończył

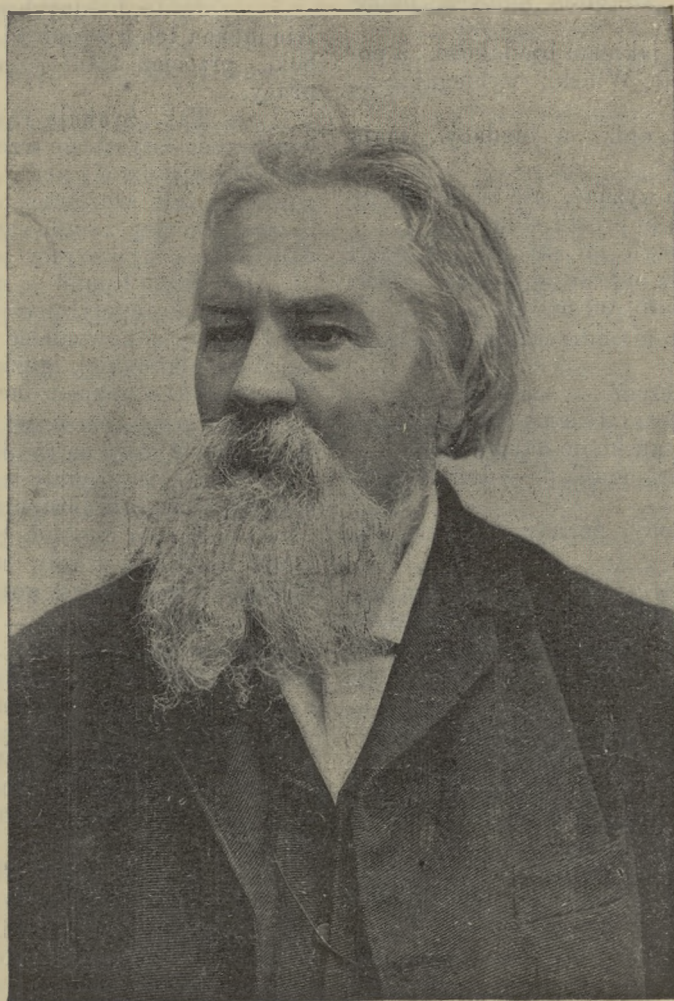
w Petersburgu akademię sztuk pięknych z medalem i przebył dwa lata w Paryżu, poczem powrócił do Warszawy, gdzie w ciągu 40 lat nieustannie pracował, to malując obrazy, które mu powszechną zyskały sławę, to nauczając młodsze pokolenia artystów i starając się rozwinąć w społeczeństwie zamiłowanie do sztuki, zwłaszcza swojskiej. On był

jednym i głównym założycielem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, które obecnie tak piękny gmach wzniosło na placu Ewangelickim, -- prezesem Towarzystwa artystycznego, krytykiem dzieł sztuki, organizatorem różnych wystaw i konkursów, odznaczając się zawsze wysoką szlachetnością i pragnieniem rozwoju sztuki rodzimej.

Oprócz działalności na polu artystycznym, był też przez długi czas prezesem gminy ewangelicko-augsburskiej.

Obrazy Gersona osnute są przeważnie na tematach zaczerpniętych z dziejów polskich. Do najslawniejszych należą: Kazimierz Odnowiciel, Łokietek na wygnaniu, Esterka, Kiejstut i Witold więźniami Jagielly, Opłakane Apostolstwo i wiele innych. Malował też często śliczne widoki tatrzańskie i kilka obrazów religijnych.

Pogrzeb tego zasłużonego męża odbył się 1 marca



Wojciech Gerson.

przy licznych współudziale mieszkańców miasta, w którym do końca życia pracował.

PANICZYK

przez

S. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Ośmnaście kopiejek! — rzekła starowina, kładąc w brudnej papierowej torebce kaszę obok bochenka chleba.

— Co to znaczy, gdzie oni się podziali? — pytał Józio zaniepokojony, zapominając o swojej stracie.

— To znaczy, że ci skradli portmonetkę i uciekli — odrzekł Wiński.

— Ależ, ależ, to być nie może — mówili, że matka chora...

— A co to się stało? — spytała kobieta, wychylając się z za lady sklepowej.

— Skradli temu paniczowi portmonetkę! — rzucił korepetytor.

— To pewnie te lobuzy z nad Wisły! — rzekła obojętnie kobieta, nie zabierając jednak towaru.

Wiński zapłacił ośmnaście kopiejek i wraz z Józkiem skierowali się do wyjścia.

— Niechże pan zabierze! — zawołała kobieta, podając chleb i kaszę.

— Dajcie to moja jejmość jakiemu biedakowi, a powiedzcie żeby nie kradł! — rzucił Wiński, wybiegając na ulicę.

— Czyż to podobna, żeby oni... ci biedacy... mają matkę chorą! — powtarzał Józio.

— Mój kochany, przykro to wyznać, ale zdaje mi się, że to wszystko nieprawda, byli to poprostu złodzieje.

— Ale jakim sposobem mogli mi skraść! jak mogli mówić, że matka im chora! a może naprawdę chora... — mówił Józio, nie mogąc zrozumieć całej tej nędzy.

Wiński westchnął tylko, nie nie odrzekłszy. Po chwili zapytał:

— Dużo miałeś w portmonetce?

— Trzy ruble, które dostałem od mamy i jeszcze parę kopiejek, co mi dał Waluś, żeby mu kupić harmonijkę.

— Najgorzej będzie z tą harmonijką! — dodał zafasowany.

Lecz Wiński tak był zgryziony, że nawet mu nie odpowiedział.

Szli tak w milczeniu w górę ulicy, nad którą wznosiło się miasto, ze swymi strzelistymi wieżycami kościołów, wysokimi kamienicami, błyszczącymi wśród pełni słonecznego światła gmachami i sklepami pełnymi najróżnorodniejszych towarów.

Józio mimo palącego żaru słońca odetchnął swobodniej, gdy już opuścili smutną nadwiślańską ulicę.

— A gdybyśmy tak poszli na tę Browarną i powiedzieli im, że to bardzo brzydko wyciągać pieniądze z cudzej kieszeni, że to grzech... — począł Józio z całą naiwnością chłopca wychowanego na wsi, nie mającego smutnej sposobności zetknięcia się z tą biedą i nędzą, która żyje w zaułkach wielkiego miasta.

— Czyż ty myślisz, że oni tam mieszkają? — zapytał Wiński.

— A gdzie?

— Nie wiem, ale z pewnością nie tam!

— Jakto, i matka ich nie chora?

— Kto ich tam wie! — odparł z niechęcią korepetytor.

— Pójdźmy tam jednakże, mój panie.

— Dobrze, kiedyindziej! — rzekł Wiński od niechcenia i zamilkł.

— Czyż to może być, żeby oni tak kłamali! — myślał Józio, przypominając sobie ze wstrętem całą nadwiślańską ulicę i tych dwoje nędzarzy. — Cóż to za ludzie! co to za dzieci! — szeptał, nie mogąc się pozbyć wspomnienia. I z przyjemnością rozglądał się po Krakowskim Przedmieściu.

— Odpocznijmy chwilkę — rzekł Wiński, wchodząc na skwer.

I usiedli na ławeczce.

Zieleń, kwiaty pełne żywych barw, ułożonych w misterny kobierzec, wywierały na Józia miłe wrażenie; przedstawiając smutną ulicę i jego mieszkańców, którzy tak żywo odbili się w jego młodym, pełnym zapału umyśle. Lecz z za tych kwiatów i krzewów od czasu do czasu wychylały się smutne, widziane przed chwilą postacie.

Idąc więc za tem wrażeniem i myślą, zapytał:

— Gdzież są ich rodzice, co robią?

Wiński ocknął się, spojrzał na Józia i rzekł:

— Zmarli, lub sami popchnięci do ostatniej nędzy, wysyłają dzieci na nędzniejszy jeszcze zarobek.

— Przecież słyszałem, że w Warszawie jest tak dużo przytułków dla biednych, ochron, czemuż nie wezmą tych dzieci, nie nakarmią, nie okryją! nie oduczą kradzieży! — mówił Józio rozplamieniony.

— Mój kochany, gdyby Warszawa, ba, każde miasto, miało dziesięć razy tyle zakładów dobroczynnych, przytułków i ochron, nie zaradziłyby jeszcze wszelkiej nędzy i biedzie.

— Jakto, biednych jest tak dużo? — spytał Józio. — Nie można temu zaradzić! A żeby tak każdemu dać zarobek... przecież tatuś często powiada, że brakuje rąk do pracy.

— Tak, brakuje rąk do pracy — odrzekł Wiński — lecz przedewszystkiem trzeba wyrugować próżniactwo. Wtedy tylko zaradzi się nędzy, jeżeli każdy będzie chciał pracować, jeżeli zrozumie potrzebę i konieczność pracy i nabierze do niej zamiłowania! — mówił, zapalając się młodzieńcem. — My wszyscy jesteśmy próżniacy — dodał.

— Jakto i pan? — spytał Józio.

Lecz korepetytor czy nie słyszał pytania, czy też nie miał ochoty odpowiedzieć. Powstał tylko i skierowali się ku Marszałkowskiej, gdzie w hotelu oczekiwał na nich pan Chrustowski o naznaczonej godzinie.

Szli jakiś czas w milczeniu, Józio chrząkał coraz częściej, lecz Wiński na to nie zważał.

Wreszcie przyszedł trzecioklasista ozwał się z pewnością siebie i postanowieniem:

— Nie, ja nie będę próżniakiem, muszę doskonale się uczyć, skończyć szkoły, uniwersytet, stać się człowiekiem wskazać innym jak się powinno pracować!

— Daj ci Boże! — westchnął Wiński, spoglądając serdecznie na swego ucznia.

— Proszę pana, gdyby wszyscy co mają sposobność uczenia się, uczyli się dobrze i dopomagali tym, którzy nie mają na to, czy nie byłoby nędzy?

— Ba, żeby każdy umiejący czytać, nauczył jednego tylko i wskazał mu co dobre, a przedewszystkiem sam pracując, zmusił drugiego do pracy, los ludzi polepszyłby się na świecie.

— Hm, hm! — chrząknął gimnazysta po swojemu. — Na wsi niema takiej biedy, jak tutaj? — rzekł po chwili.

— Jest, jest tylko innego rodzaju. Zresztą nie miałeś sposobności jej się dotknąć, widzieć. U was w Chrystowie lud zamożny, ma opiekę i radę swoich rodziców. Ale gdzieindziej! Wiesz co, Józio, żał mi, że cię poprowadziłem nad Wisłę, żeś zobaczył tę brzydką, smutną stronę naszego miasta.

— Dlaczego, proszę pana, nie jestem już dzieckiem! — rzekł chłopiec z pewną obrazą. — Zresztą widok dzieci biednych wzbudził we mnie jeszcze większą wdzięczność dla moich rodziców i nauczył, czym się staje próżniak! — mówił z miną dorosłego człowieka. — Może nie jeden z tych chłopców nie chciał się uczyć i dlatego doszedł do takiej biedy! — dodał, rozumując na swój sposób.

— Dajże ci Boże, żeby pocziwe zasady, wszczepione w twoje serce, rozwijały się coraz więcej, a myśli i zamiary stały się czynem — szepnął Wiński.

Słońce coraz to więcej paliło żarem, rozgrzewając mury, chodniki, rzucało świetlane blaski na rozścielone na skwerach kwiaty, nieąc w sercach snującej się wszędzie gimnazjalnej młodzieży tęsknotę za domem, za wsią, za bezczynnością i swobodą. Budziło jednak zarazem postanowienie pocziwe pracy i nauki, po którą tak tłumnie przybyła a miasto roiło się od szkolnych mundurów, witając swych dobrych znajomych lub przypatrując się nowym, jak gdyby chciało zapytać:

— A co z was będzie, co będzie?

V. Dzwony.

Hania, mimo rozpoczętych lekcji, nie zapomniwała o Pawelku, szła dla niego, w czym jej dopomagała i panna Marta. Tylko odwiedziny, zawieszenie uszytego odzienia, chleba lub innego pożywienia, które jej matka dawała najmniej ją nęciło.

— Przecież można to wszystko posłać, albo nareszcie zabrać tutaj chłopca — powtarzała sobie.

Zawiozła wprawdzie raz datek, lecz nie zsiadając z bryczki zawróciła kuczkę, którą sama tym razem powoziła.

Lecz matka i nauczycielka innego były zdania.

Pani Chrustowska długo rozmawiała w tym względzie z panną Martą, a jak we wszystkim, tak i w tem obie były tego zdania, że chcąc spełnić dobry uczynek, trzeba go spełnić osobiście.

— W tym razie nawet jest to koniecznie potrzebne! — mówiła panna Marta.

Tegoż samego zdania był ojciec, któremu zaraz po powrocie Hania opowiadała o zdarzonym wypadku, jak poprzednio opowiadała pannie Marcie. Lecz pan Chrustowski miał dużo bardzo zajęć; wyjeżdżał wciąż z domu, na naleganie więc Hani, żeby odebrał Pawelka i chatę, która się słusznie małemu sierocie należała, odpowiadał:

— Zrobi się to, zrobi w swoim czasie, tymczasem jeżeliś moja córko przyrzekała mieć nad nim opiekę, opiekuj się, jak należy.

— Kiedy ja nikomu nic nie przyrzekałam! nawet temu malcowi nie mówiłam, że się nim będę opiekowała — tłumaczyła się Hania.

— Słyszałam, żeś sobie przyrzekała — rzekł z naciśnięciem ojciec.

— Eh, sobie!

— No, no, więc ty jesteś nikt, czy nic. Martwi mię to bardzo!

— Co ojczulka martwi?

— Ze jesteś nic! Niedawno utrzymywałaś, że jesteś „osobą.”

— Naturalnie, że jestem „osoba” — mówiła Hania, skacząc koło ojca i czepiając się ręk jego z pieszczotą. — Ja jestem już panna, nawet duża panna! wkrótce dorosnę mamy! — dodała, wspinając się na palce.

— Ludzi na łokcie nie mierzą, choćbyś nawet przerosła mamę o całą głowę, będziesz zawsze „nic!”

— A to jakim sposobem?

— Wcale bez sposobu — odrzekł ojciec. — Jesteś „nic” i będziesz „nic” jeżeli, nie spełnisz tego, co sobie przyrzekniesz.

(d. c. n.)

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg)

— Wystrzał nasz niemało narobił szkody — odezwał się baronet — niejednym cypel runął od niego, niejedno kamień stoczył się z góry, niejedno zadrżało drzewo, niejedno stworzenie się przeraziło. To biedne kozie, choć nie zostało ranione strzałem, od niego zginęło. I nie tylko wystrzał sprawia takie rzeczy: czasem wykrzyknięcie w górach imię drogiej osoby sprawia tak samo, że skały od niego lecą w przepaść, bo każdy odgłos w górach, wstrząsający powietrze, jest niebezpieczny.

Jakób zadumał się na te słowa: imię drogiej osoby... Jakież imię mieć mógł na myśli ten człowiek zagadkowy? Czy syna utraczonego? Co on kochał jeszcze, jeżeli całą miłość ześrodkował w swym następcy i utracił z nim wszystko? Czyżby?... Ale nie, nie czas jeszcze na to!

Zbliżali się ku szałasom: w jednym palił się ogień. Zdaleka słychać było dzwonki owiec i rozmowę pasterzy. Duży biały pies wybiegł naprzeciw nich i zaczął zjadale ujadać, ale go odwołano natychmiast. W powietrzu unosiła się ostra woń wełny owczej i nawozu, a przez szpary okraglaków, z których zbudowany był szałas, przeblyskiwało światło ogniska i widać było dym uchodzący otworem z przodu:

— Pijałem już nieraz mleko na hali — rzekł Warburton — ale nie byłem w szałasie; wejdźmy, jeżeli nam pozwolą.

— O tem nie trzeba wątpić — powiedział Jakób — górale tatrzańscy są gościnni.

Na progu szałasów siedział stary góral i kurzył fajeczkę. Twarz jego, poczerniała od słońca, wyglądała jak dobrze wysuszony pargamin, a czoło огоłocone z włosów, błyszczało jak bronz polerowany. Przy ciemnym kolorze skóry widne były białka dużych, wypukłych oczów, błyszczące i ruchome, mimo pozornego spokoju postawy. Światło ogniska padające z wnętrza szałasów oświecało jego sylwetkę.

— To ktoś starszy — zauważył Henryk.

— To baca — powiedział Jakób. — Jest on nad juhasami, niby ojciec, niby wódz.

Baca patrzył na zbliżających się gości, nie zmieniając postawy, dopiero gdy stanęli tuż przed nim, mówiąc: „Niech będzie pochwalony” — podniósł się i na bok usunął, wpuszczając ich do wnętrza.

Koło ogniska, płonącego w pośrodku szałasów, siedzieli juhasy, a dziedzicze ich twarze i błyszczące oczy, nie budziły zaufania. Na ziemi leżały całe pnie drzew i trawil je ogień, a dym dobywał się z nich gryzący i uchodził otworami. Był tam pieniek spory, było kłód kilka i dwa duże kamienie.

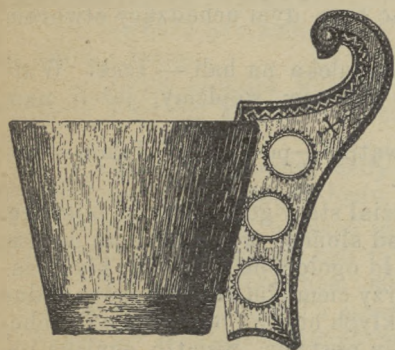
— Niech se siednom — rzekł baca, wskazując im miejsce z giestem conajmniej pana zamku; a gdy zasiedli, dorzucił na ogień smereczyny, i ognisko jasnym buchnęło płomieniem.

Warburton, jak niegdyś w ową noc burzliwą na Starej Polanie, tak i tu oswoiwszy się nieco z dymem, jął się uważnie rozglądać po otoczeniu: ujrzał na ziemi stare, drewniane naczynie do mleka, piękne czerpaki wiszące na kołkach, z otworami na palce, olbrzymi kocioł i potworną warzęchę, która mu przypomniwała scenę czarownic z *Makbeta* i gdy tem spostrzeżeniem podzielił się z Witoldem, ten uśmiechnąwszy się, odrzekł, że Witkiewicz porównał ją do łyżki czarownic Słowackiego w *Bulladynie*, gdzie jest także podobna



Kozice.

scena jak w Makbecie i nazwał „wytwornie piękniemi.” Zaczął on rysować tę warzęcę, jak również czterozębne widły i torbę pasiastą wiszącą z niemi razem na kołku, a gdy



Czerpak do mleka.

baronet zrobił uwagę, że nic w niej osobliwego niema, odrzekł, że torba ta jest ważnym sprzętem patryarchy dobytku, otoczonym legendą. Witkiewicz w swem dziele „Na Przełęczy” opowiada, że z torbą taką przed wiekami, przybył przodek całego prawie ludu z mieszkującego zakopańskiej doliny, od Kościelisk do Poronina i dalej, aż na stoki wzgórz północnych.

Wtedy nie było tu nikogo, tylko lasy czarne i grzęzkie młaki ¹⁾ zalegały kraj pusty. Po zaciętych potokach pluskało się ryb mnóstwo i wszelka wodna zwierzyna; nie było ani polan, ani wsi, tylko las, że „ledwie do nieba co można było poźreć.” Był chyba jaki płony ²⁾ narodek, bo gdy przybysze obdarli się w podróży, i uszyli sobie z torb pasiastych czuhy, nazwano ich „Gąsienicami.” Jestto najpotężniejszy ród i sławę swego legendowego starożytnego pochodzenia, dzieli jedynie z Walczakami. Wszystko co nie jest Gąsienicą albo Walczakiem, to „ludzie ze świata.” ³⁾ Arystokracya rodowa tutaj w szałasach jest dumniejszą ze swego pochodzenia, niż gdzieindziej w zamkach z tytułów i herbów.

— A jeżeli pochodzenie Gą-

sieniców i Walczaków takie dawne, to bezwątpienia Warburtonowie z Rochdale powinni im podawać strzenie, gdyby górale tutejsi nie jeździli oklep, bez siodła, jak to widziałem — wtrącił z uśmiechem baronet: Witold mówił dalej:

— Każdy góral nazywa się podwójnie, albo i poczwórnie: wołają go Jaś, pisze się Krzeptowski, mówi się Sabała, a poza tem jest wielkie wspólne nazwisko Gąsienica. Niewielu Gąsieniców pisze się Gąsienicami: na przykład wołają Józek, pisze się Gąsienica, mówi się „z pode drogi.” W miarę zwiększania się rodu i bardziej powikłanych stosunków pokrewieństwa, nazwiska zmieniają się, i w mowie potocznej ani urzędzie, nikt nie używa dawniejszej nazwy, ale każdy wie, że jest Gąsienica i jest z tego dumny.

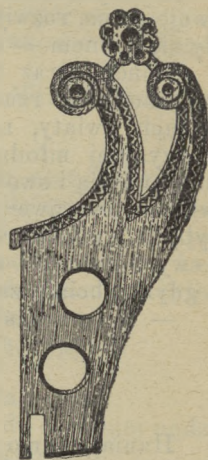
— A co za wspianą spinkę mo siężną u koszuli ma ten arystokrata okryty owczą skórą! toż to klejnot prawdziwy! Zapytaj go pan, czyby mi jej nie sprzedał.

Witold spełnił życzenie baroneta, ale otrzymał odpowiedź odmowną. Za to goniec ofiarował swoją za papierka. Baronet przypatrując się jej uważnie, powiedział że podobne ozdoby widywał w Indyach i wyraził przypuszczenie, że ów przybysz z pasiastą torbą mógł pochodzić ztamtąd. Na to odezwał się Jakób, że jest w gwarze góralskiej kilkanaście wyrazów mających egzotyczne pochodzenie; mianowicie „watra” ogień, jest czysto indyjskim wyrazem.

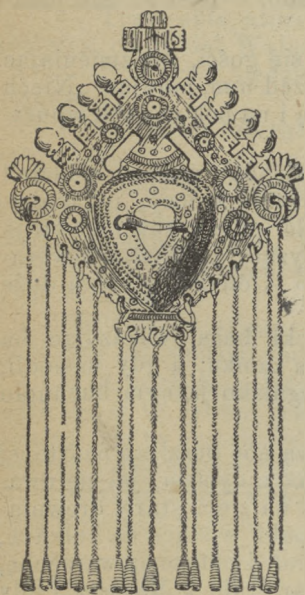
Na prośbę sir Edwarda, Witold odrysował mu spinkę bacy. Ten ostatni wyniósł żentycy i smacznego sera, który bardzo smakował gościom, a baronet natomiast poczęstował go cygarem. Obrokt nie mogący wytrzymać bez smyczka, wydobyl skrzypce z torby i zaczął grać, a juhasy zerwali się do tańca, który trwał dopóty, aż oczy zaczęły błyskać a twarze im pobałdły. Warburton wreszcie wstał, mówiąc że ma już dosyć na dziś fantazyi tatrzańskiej, zwłaszcza że namiot jego już jest gotowy.

Witold i Jakób z Henrykiem, mieli nocować w jednym z pustych szałasów. Powiedziano sobie dobranoc, przyczem sir Edward uściśnął serdecznie dłoń Henryka. Spozstrzegł on, że chłopiec dawniej chętnie trzymający się jego boku, unikał go teraz, i był jakby onieśmielony; przywykł do jego towarzystwa i brak jego ciągle odczuwał. Miłą mu była twarz, przypominająca rysami i słodyczą, twarz Ry szarda; miłym świeży, dźwięczny głos chłopca, jego rozumne pytania i odpowiedzi znamionujące inteligencję i serce.

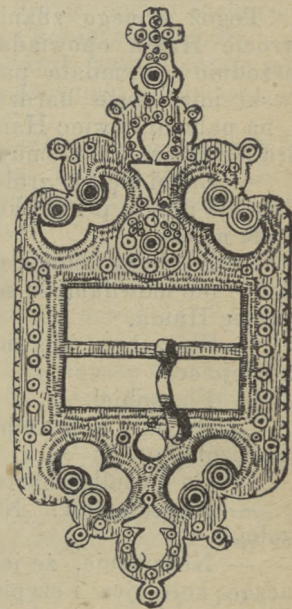
Wszyscy już spali, a Warburton zasnąć nie mógł, myśląc ciągle o Henryku. Przygoda z orłem, uścisk dziecka, wstrząsnęły nim do głębi, a przytem myśl jedna nie odstępowała go. Posiadać tego chłopca, który do niego lgnął, który go się nie bał tak jak wszyscy — i pokochałby go może jak syn własny... O jakżeby on opromienił jego starość! Szlachetny, odważny, rozumny, byłby to prawdziwy Rochdale, godny dziedzic jego imienia i jego planów. Ma nawet



Ozdobna część czerpaka.



Spinka mosiężna do koszuli.



Spinka.

¹⁾ Moczary. ²⁾ Lichy. ³⁾ Obcy przybysze.

do niego pewne prawo: uratował mu życie, a prócz tego on jest przecież...

Ale nie dadzą mu go, to pewno: chybaby porwał go siłą, a i wtedy pytanie, czy on sam dałby się wziąć... ma charakter i dla tego właśnie jest mu tak drogi.

W szałasie skrzypki jeszcze grały, przytupywanie i śpiew dochodziły aż do namiotu.

Baca nasz, baca nasz
Tęgich chłopców na zbój masz,
Jeszczebyś ich lepszych miał,
Żebyś im sera dał."

Chwilami słyhać było gdzieś w pobliżu przeciągłe świsty, niby umówione sygnały. Zastanowiło to baroneta: przebiegła mu nawet przez głowę myśl o napadzie na namiot, ale ją zaraz odsunął, przypomniał sobie, co słyszał o Świstakach. Zwierzątka te, żyjące rodzinami w norach, mają zwyczaj, podczas pasenia się na halach, stawiać jednego z pomiędzy siebie na straży, a ten w razie niebezpieczeństwa, ostrzega je przeraźliwym gwizdnięciem.

— Nie wiedziałem, że i na noc zaciągają wartę — rzekł do siebie, uśmiechając się mimowoli — czyżby czuły blizkie niebezpieczeństwo?

I czy to rzeczywistość była, czy złudzenie, ale świst jeden zabrzmiał mu w uszach jakby sygnał trwogi, a że zasnąć nie mógł, więc wyszedł z namiotu, żeby się trochę przejść, ale przez ostrożność wziął z sobą broń. Noc była piękna, jasna, spokojna, a księżyc przesuwając się między obłokami, otaczał je rąbkami złocistym. Wtem doleciało jego uszu rozpaczliwe, gwałtowne beczenie owiec: w zagro-

dzie zrobił się ruch jakiś i popłoch, a z szałasów wyleciał goniec,*) zaczął machać rękami i krzyczeć

Muzyka w szałasie ucichła, a w świetle księżyca ujrzano Warburtona zwierzę wielkości pośredniej między lisem a wilkiem, mające ruchy pantery, oczy świecące w ciemności jak dwa węgle żarzące, i pendzelki sterczące na uszach. Pomykało w tę stronę, gdzie stał, unosząc jagnię

— Ryś — szepnął Anglik, dopuściwszy go na niewielką odległość i wystrzelił.

Zwierzę ugodzone zachwiało się, upuszczając swój łup. Warburton wypalił po raz drugi, i... chybił. Ryś zerwał się z sykiem i jednym susem skoczył mu na piersi, wytrącając tym niespodzianym ruchem fuzyję z ręki i zatapiając zęby w jego szyję. Warburton uczuł straszny ból i jał gwałtownie odrywać napastnika lewą ręką, szukając jednocześnie prawą noża w kieszeni — ale noża nie było, a rozwścieczone zwierzę przypięło się doń jak pijawka, wpijając mu coraz mocniej pazury w ciało przez ubranie. Ale pomoc przybywała: jakieś drobne stopy bardzo prędko biegły w tę stronę, Anglik uczuł się nagle odepchniętym w tył. Coś małego, zwinnego jak kula, usiłowało wsunąć się między niego i zwierzę, jakieś drobne ręce jęły odrywać pazury zwierzęcia, a głos znany i drogi dla ucha cudzoziemca, wołał z płaczem.

— Na pomoc sir Edwardowi, na pomoc! Chodźcie, prędzej, prędzej! Ach Boże!

(d. c. n.)

*) Zaganiacz.

Z obrazu Wojciecha Gersona.



Powrót Żeliszawa z wyprawy wojennej.

Obraz ten pędzla Wojciecha Gersona, przedstawia powrót z wyprawy wojennej słynnego rycerza Żeliszawa z Belna z czasów Bolesława Krzywoustego (pocz. XII w.). Rycerz ten w jednej z bitew z Morawami, mając uciętą prawą rękę, lewą pochwycił miecz i nieprzyjaciela,

który go pozbawił prawicy, trupem położył. Król dowiedziawszy się o tem dowodzie mężkiej dzielności i wytrwałości, nie tylko nadał Żeliszawowi na własność znaczne posiadłości, lecz ofiarował mu rękę ze szczerzego złota odlaną.

Z dziennika Janka Ż.

(Dalszy ciąg).

O nie zapomnę go nigdy! Poznanie de Wetta wynagrodziło mi wszystkie troski, wszystek ból ostatniego roku. Tak koledzy, kto wie, może kiedy będziecie czytali ten dziennik? tak Jaguarze, tak Rolniku, zazdrościcie mi, bo patrzyłem na prawdziwie wielkiego człowieka. Trzeba być Homerem lub Mickiewiczem, żeby opisywać jego czyny, ale przecież nawet taki jak ja prostaczek ma prawo powiedzieć, co czuje. W charakterze de Wetta i jemu podobnych leży tajemnica, dlaczego Anglicy nie mogą zgnieść Burów.

De Wett, Delaray, Botha są istotnymi duszami swego narodu, idą za nimi ludzie, bo iść muszą, chociażby na pewną śmierć. Burowie nie posiadają artystów ani sławnych poetów, ani nawet uczonych ludzi, oni mają jedno tylko: energię czynu. Jak żywe srebro rozpryska się w tysiące małych kulek, ale za najinniejszym zbliżeniem kulki te tworzą znów jedną żywą, ruchomą bryłę, tak dzieje się z Burami. Nie stanowią oni regularnej armii, bo jest ich garstka, ale wśród tej garstki są bohaterowie, około których zbierać się będą zawsze ocaleni z rozbitcia obywatele. Póki ci wodzowie żyją, póty wojna trwać będzie, chociażby ostatni partyzant dowodził tylko czterema żołnierzami.

Wszystko, co tu napisałem, mówił mi mój dobry, dzielny Robert Burns, a ja zapamiętałem jego słowa i starałem się wiernie je powtórzyć, bo mówił prawdę, wszakże sam na sobie doznałem wzroku de Wetta. Ale muszę najprzód opowiedzieć, jakim sposobem znalazłem się w jego obozie. Na dziś jednak dość pisania, wolę podziwiać piękne fale rzeki, na których od pewnego czasu pojawiają się łodzie krajowców. Dotąd nie zaczepiali nas wcale, lecz kto wie, czy będą zawsze tak łaskawi usposobieni. Towarzysz mój Zulus Achabati gardzi tuziemcami, choć są czarni. Achabati jest synem Pandy, a Panda był ojcem ostatniego króla Zulów. Mówi on, że Afryka należeć powinna do ich plemienia, i że przyjdzie czas, kiedy Zulowie pomścą swe krzywdy i na Burach i na Anglikach. Zawsze więc ci, co są pod spodem marzą o odwecie, i zło ściąga nienawisć. To okropne, bo ludzie przecież kochać się powinni.

Wiatr przyniósł mi od brzegu woń kwiatów, a zapach ten podobny był do konwalii. Zrywałem je tyle razy w polskich lasach, więc też zatęskniłem do naszych pól, roślin, do swiegotu ptaków, do dźwięku naszej mowy i na pociechę odczytałem głośno pierwsze stronnice tego dzienniczka, bo chciałem usłyszeć polskie wyrazy. Obiecałem wam, koledzy, opowiedzieć, jakim sposobem dostałem się do obozu Burów, a to mi przypomina, że ostatni mój list do Warszawy wysłałem z fermy Rhenoster. Nazajutrz zaś, to jest 30 sierpnia, więc akurat dwa miesiące temu, miałem szukać komendy angielskiej, która pomogłaby mi dostać się do jednego z portów morskich. Otóż zobaczyłem Anglików wpróż niż się spodziewałem i pomogli mi oni dostać się... do de Wetta.

A było to tak. Siedziałam właśnie przy śniadaniu, kiedy wbiegł do izby młody Murzyn z doniesieniem, że idzie jakieś wojsko. Skoczyliśmy natychmiast do koni. Były posiadłane, bo w czasie wojny wierzchowce są zawsze gotowe do drogi, ale pośpiech nie na wiele nam się przydał. Oddział angielskich huzarów wpadł już między zabudowania fermy i zaczęła się siekanina, a potem pościg, w którym omal nie straciłem życia. Miałem wprawdzie w kieszeni rozkaz marszałka Robertsa, zapewniający mi opiekę władz angielskich, nie czas jednak powoływać się na piśmienny rozkaz, kiedy szabla dotyka niemal głowy. Uciekałem też co sił, goniony przez dwóch tegich rębaczy. Był-

był zginął niechybnie, gdyby nie Robert Burns, który zawrócił z drogi i narażając własne życie, skoczył mi na pomoc. Celnym strzałem powalił jednego huzara a drugiemu wpakował pod żebro kordelas, właśnie w chwili kiedy ten pałaszem sięgał mojej głowy..

Ranny Anglik nie miał już siły rozplatać mi czaszki, ale stalowa klinga drasnęła mi porządnie ramię. Wypuściłem leżąc z ręką, bo ból obezwładnił mi dłoń. Robert jednak i teraz nie opuścił przyjaciela; chwycił uzdę mego konia i jechaliśmy strzeżem przy strzemieniu, pędząc co sił.

W obec dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela tylko ucieczka mogła nas ocalić. Burns spoglądał mi w twarz z niepokojem, musiałem być bardzo blady skutkiem upływu krwi, czułem, że tracę siły i prosiłem Roberta, aby jechał dalej, zostawiając mnie losowi.

— Wstydz się tego, co powiedziałeś — zawołał szlachetny chłopak, i nie zatrzymując konia, owinał chustką moje ramię, przyczem posługiwał się więcej zębami, niż ręką. Burowie umieją radzić sobie w potrzebie, to też Robert nie wypuścił ani na chwilę cugli obu wierzchowców. Konie były wypoczęte, więc pędziliśmy, jak wiatr, ku południowi w stronę Betleem i gór Drakenbergskich, gdyż tam miał się znajdować obóz de Wetta.

Robert widział jednak, że nie znoję dłużej bólu od rany i pragnienia, które paliło mi usta. Traciłem powoli przytomność, pamiętam przecież, że dojechaliśmy nad brzeg szeroko rozlanej rzeki, i że Burns, zatrzymawszy konie, ukrył mnie w sitowiu. Nie wiem, jak długo trwało omdlenie, odzyskałem świadomość wtedy dopiero, kiedy Burns wlał mi w usta kilka łyków koniaku. Piłem z tej samej flaszki, z której pił Robert, uciekając z pod Johannesburga. Koniak wrócił mi siły, mogłem sam ściągnąć kurtkę okrwawioną i przeciętą na ramieniu. Mniejsza jednak o kurtkę, gorzej było z moją skórą, do której zabrał się teraz przyjaciel, jak szewc do dziurawego buta. Wyjął z kieszeni pulares, a trzeba wam wiedzieć koledzy, że ubranie Bura ma zawsze niezliczoną ilość kieszeni. W pularesie znajdowały się wszystkie przybory, jakie felczer opatrujący rany powinien mieć pod ręką. Robert nawłókł igłę cienkiem ścięgnem antylopy. Wraść ono w ciało i nie potrzebuje być wydobywane jak jedwab'.

— Burnsie! — zawołałem, odzyskując nagle siły — czy ty doprawdy na mnie chcesz spróbować swoich krawieckich zdolności?

— Cicho bądź, leż spokojnie — mruknął, odgryzając nitkę od kłębka i zabierając się bez ceremonii do zszywania nadciętego ciała.

Zacząłem zęby zęby nie krzyknąć z bólu i muszę oddać sprawiedliwość memu lejbi-chirurgowi, że zrobił operację bardzo zręcznie. Każdy Bur jest myśliwym, a każdy myśliwy musi znać się na opatrzywaniu ran. Moją po zaszyciu nakrył Robert plastrami przyrządzonym w Johannesburgu przez panią Katy. Wyszukał nad rzeką ziół, zgryzł je w ustach, obłożył wilgotnymi ręką i kompres ten obwinał moją własną chustką, podartą na bandaż. Zacząłem znów tracić przytomność z bólu i upływu krwi, ale Burns dał mi się napić koniaku i pochwaliwszy pacjenta za cierpliwość, kazał spać, zaręczając, że sam czuwać będzie nad naszym bezpieczeństwem. Usłuchałem Roberta, krótko jednak trwała ta drzemka, bo zbudził mnie wkrótce tentent koni i brzęk szabel.

Rozgorączkowany bólem, nie mogłem zrozumieć o co chodzi, ani przypomnieć sobie gdzie się znajduję, dopiero po chwili wróciła mi przytomność. Jakaś konnica przeprawiała się przez rzekę, na której brzegu byliśmy ukryci. Wysokie sitowie zasłoniło nas obu z Robertem, ale konie, zwabione zapachem traw, oddaliły się od miejsca, gdzie je postawił Burns i one to naprowadziły ku nam angielskich dragonów. Słyszałem rozmowę żołnierzy, słyszałem jak narzekali na nieznośne wojenne trudy; kilku jeźdźców popędziło za naszymi wierzchowcami, kilku zeskoczywszy z koni, przepatrywali brzeg rzeki.

Robert trzymał broń w pogotowiu.

— Ciebie uratuje rozkaz marszałka, mnie czekałby los Corduy; drogo też sprzedam życie.

Milczałem, bo cóż mogłem odpowiedzieć przyjacielowi. Nie miałem siły podnieść karabina. Oczekiwanie trwało zapewne kilka minut, mnie się ono wydało wiekiem. Anglicy nie znaleźli nas jednak, nie złowili nawet naszych koni i zniechęceni próżną nitką, przeprawili się przez rzekę, kląnc Burów, jak gdyby to oni winni byli wojnie.

Podziwiałem zmyślność transwaalskich wierzchowców, po kilku godzinach wróciły same do nas! Posiliwszy się suszonym mięsem, mogliśmy jechać dalej; ręka, dzięki opatrunkowi Roberta znacznie mniej bolała, trzymałem ją zawieszoną na temblaku, który Burns ukręcił z sitowia.

Jechaliśmy okolicą coraz dzikszą i coraz górzystszą, a jechaliśmy całą noc, kierując się według gwiazd. Robert miał mapę Oranii, mały kompas i z ich pomocą wybrał drogę, prowadzącą w stronę Ladybrandu, bo wiedział, że tam de Wett naznaczył punkt zborny dla rozbitków Burskich. Dwa dni trwała nużąca i niebezpieczna ucieczka, aż nareszcie dobiliśmy się szczęśliwie do pierwszej holenderskiej pikiety. Ona to powiedziała nam, że oddział de Wetta obozuje opodal. Zmęczone konie szły wolno brzegiem małego górskiego jeziora. Była już dziesiąta, w szybie wody odbijał się księżyc i niebotyczne, śniegiem pokryte szczyty gór. Robert zostawił konie pod strażą znajomego Bura i wziął przewodnika, bo znajdowaliśmy się na znacznej wysokości, w okolicy okropnie dzikiej. Wśród tych skał mieszkał chyba tylko zwierz drapieżny. Słyszałem też wrzask pawianów i wycie szakali.

Okружиłyśmy przezroczystą taflę jeziora i stanęliśmy u wejścia do przesmyku. Był tak wązki, że dwóch ludzi z łatwością bronić go mogło. Przypomniały mi się Termopile i Leonidas; na myśl, że zobaczę de Wetta, drżałem ze wzruszenia.

— Dobre miejsce obrał wódz — powiedział z dumą Robert.

— Byle tylko nie było między wami zdrajcy Efialte-sa — mruknąłem, bo stanął mi znów przed oczami los greckiego króla-bohatera.

— Własnym ciałem zagrozi przejście, a nie podda się — mówił dalej Burns, który uwielbiał de Wetta.

Załowiałem, że nie mogłem opowiedzieć przyjacielowi, iż tak właśnie uczynił Żółkiewski pod Cecorą w walce z Turkami.

Ale nie było czasu na historyczne porównania.

Przy rozłożonym ognisku siedziało kilkudziesięciu Holendrów wychudzonych i obdartych. Biedacy nie palili nawet fajek, widać zapas tytoniu, jak wszystkie inne zapasy, był wyczerpany. Nie widziałem, aby gotowano wieczrę. Jeden ze starszych wskazał Robertowi wyższą jeszcze skałę i zsiłmy znów pod jej górę, mijając małe oddziały żołnierzy. Obozowali na gołych płaszczynach granitowych, podobni do stada sępów, gotowych za pierwszym skinieniem wodza rzucić się na nieprzyjaciela. Spaleni wiatrem, przypominali więcej duchów niż ludzi. Była jakaś okropna zaciętość w ich twarzach, budzili we mnie podziw i niemal przerażenie. Starsi czytali biblię, kilku młodych otaczało sztandar transwaalski, zatknięty na odłamie skały. Podartą i wybladłą chorągiew szarpał wiatr północny; zrzucił on ze szczytów tumany śniegu na obozujących. Drżący od zimna i lat podeszłych głos, śpiewał hymn, którego nauczył mnie potem Robert, a który przetłomaczony tak brzmi:

„Ty, Panie, coś Mojżesza prowadził szeregi,
Tyś nas przywiódł szczęśliwie na Afryki brzegi,
Zkąd wygnańców wyrzucić przemocą zechciała
Anglia zuchwała.

Anglia zaczęła wojnę, zabija nam dzieci,
Ona ogień pożarów wśród ferm naszych nieci.
Lecz już jej nieprawości przebrała się miara,
Czeka ją kara.

Tyś Gedeona wspierał, tyś wiódł Jozuego,
Tyś osmażał synów Helego grzesznego,
Tyś mieszkańców Sodomy poraził ognistym,
Deszczem siarczystym.

Ty nie dopuścisz, aby tryumfował,
Ten, co niewinnych napadł i katował;
Zetrzesz w proch pychę Anglika w potrzebie,
By uznał Ciebie.

A Bur Cię będzie chwalił po wiek wieka,
Bo czego siła nie dokaże człeka,
To sprawić może, o Wszechmocny Panie!
Two rozkazanie!

(d. c. n.)

20 rad higienicznych dla młodzieży.

przez

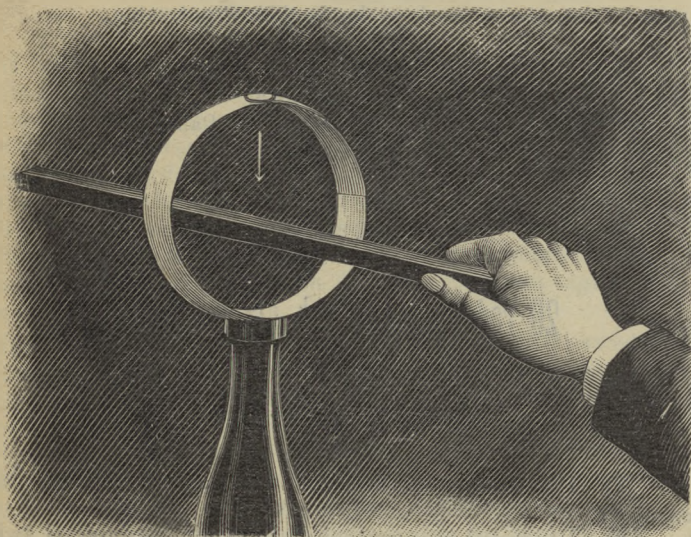
dra Józefa Zawadzkiego.

- 1) Pierwszym warunkiem utrzymania zdrowia jest czystość.
- 2) Utrzymuj w czystości ciało i zachowaj umysł świeży — będziesz zawsze zdrow i szczęśliwy.
- 3) Myj ręce wodą z mydłem, rano, wieczorem, oraz przed każdym jedzeniem.
- 4) Myj twarz i szyję 2 razy dziennie rano i wieczorem.
- 5) Usta płucz wodą i myj zęby szczotką rano, wieczorem i po jedzeniu.
- 6) Nie myj twarzy w wodzie brudnej, w której poprzednio myłeś ręce.
- 7) Kąp się przynajmniej 2 razy na miesiąc.
- 8) Zmieniaj bieliznę 2 razy na tydzień.
- 9) Utrzymuj ubranie w czystości, usuwaj pył i plamy, przewietrzaj raz na tydzień.
- 10) Pościel zmieniaj co tydzień.
- 11) Przewietrzaj, o ile można najczęściej pokój, usuwaj pył, pluj do sopluchki z wodą, a nie na ziemię.
- 12) Postaw stół tak, aby światło z okien było po lewej stronie.
- 13) Do lampy wstaw szkło niebieskie i stawiaj ją przy zajęciu po stronie lewej.
- 14) Nie śpij twarzą do okna.
- 15) Wstawaj o 7 rano, idź spać o 10½ wieczorem.
- 16) Po powrocie ze szkoły nie siadaj zaraz do obiadu, ale odpocznij ½ godziny, po obiedzie odpocznij godzinę.
- 17) W czasie świąt i wakacji pracuj 2—3 godziny, resztę czasu poświęć rozrywkom.
- 18) Nie pracuj późno w nocy, na godzinę przed udaniem się na spoczynek zaprzestań roboty.
- 18) Nie czytaj w pozycji leżącej, przy zajęciach siedź prosto i nie nachylaj się.
- 20) Jedz 4 razy dziennie o godzinie 8-iej z rana, o 12 w południe, o 4-iej po południu i o 8-iej wieczorem, jedz powoli, nie jedz pokarmów nieświeżych, nie pij wina, piwa, wódki, mocnej kawy i herbaty; za napój używaj czystej wody.

ZABAWKA NAUKOWA.

Zróbiny z grubego papieru kółko, mające 10 centim. średnicy i 3 ctn. szerokości. Postawmy je prostopadłe na szyję butelki z dużym otworem, i na kółku położmy srebrną monetę tak, aby się znajdowała wprost otworu. Następnie weźmy pałeczkę lub kancik, i przesuńmy go przez śro-

dek kółka, szybkim ruchem trąćmy takowe w prawą stronę. Kółko zostanie pociągnięte przez kancik, moneta zaś spadnie prosto w otwór butelki. Skutkiem szybkiego uderzenia, ruch kółka będzie tak szybki, iż moneta nie ma czasu za nim podążyć. Jest to prawo brawadności.



Oto jeszcze dwa w tym rodzaju doświadczenia: 1) Na końcu wskazującego palca lewej ręki położmy poziomo bilet wizytowy, a w samym środku tegoż umieścimy 10-cio kopiejkową monetę, dajmy teraz szcztka w jeden rożek biletu, odskoczy on wirując szybko, pieniążek zaś zostanie nam na palcu. 2) Postawmy też samą monetę pionowo na gładkim stole (najlepiej z marmurowym blatem, podłożywszy poprzednio pod nią pasek papieru tak, żeby koniec papieru wystawał nieco na blat stołu; poczem uderzmy szybko pałeczką w wystający koniec z góry na dół. Tym sposobem papier usuniemy ze stołu, a pieniążek stać będzie w pierwotnej pozycji.

ARYTMOGRYF.

Od Wróżki leśnej i Polskiej Dzieweczki dla Jaskółki.

- 1) 15, 21, 10, 14, 16, 24, 3. Naród koczujący.
- 2) 22, 3, 8, 6. Najwyższy bożek grecki.
- 3) 3, 7, 16, 14. Wulkan w Europie.
- 4) 29, 8, 15, 2, 14. Owad dwuskrzydły.
- 5) 15, 2, 17, 15, 24, 29. Miasto n. Dniestrem pam. z r. 1621.
- 6) 2, 14, 9, 14, 16, 14. Miasto na wys. Kubie.
- 7) 14, 19, 17, 35, 3, 17. Bożek słońca u Greków.
- 8) 7, 14, 5, 3, 8, 6, 22. Postać z poematu Mickiewicza.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wojciech Gerson (z portretem). — Paniczek, przez Z. Morawską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Powrót Żelysława z wyprawy wojennej (z ryc.) — Z dzienniczka Janka Ż. — 20 rad higienicznych dla młodzieży. — Zabawka naukowa (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Piosnka o słoniu, wiersz (z ryc.) — Winowajca, komedyjka w jednym akcie. — Najmilszy podarek. — Piotruś i Basia — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 25 Февраля 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

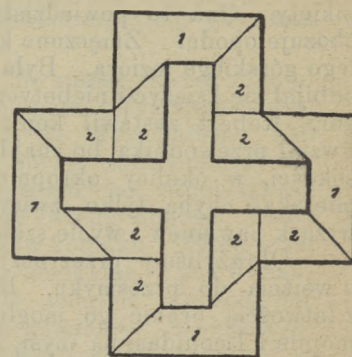
W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

- 9) 14, 16, 7, 21, 10, 17, 16, 14. Córka Edypa.
- 10) 20, 18, 5, 14. Dopływ Wisły.
- 11) 17, 15, 2, 17, 7, 14. Rzeka w Syberii wsch.
- 12) 10, 16, 24, 3, 22, 16, 17. Miasto w Ks. Poznań.
- 13) 14, 20, 3, 35. Postać biblijna.
- 14) 7, 3, 22, 3, 8, 6, 22. Pogromca Minotaura.
- 15) 14, 22, 21, 14. Część świata.
- 16) 7, 14, 18, 16, 17, 9, 6, 12, 24. Zwycięzca z pod Obertynu.
- 17) 3, 10, 24, 19, 7. Kraj w Afryce.
- 18) 29, 24, 15, 12, 24, 3, 9, 24, 15, 22. Poeta polski.
- 19) 18, 3, 22, 3, 5, 14. Roślina z kwiatem zielonym.
- 20) 14, 20, 6, 14, 35, 17, 16. Syn Dawida.
- 21) 5, 3, 35, 4, 24, 16. Zwierzę morskie ssące.
- 22) 14, 29, 3, 7, 21, 6, 7. Kosztowny kamień.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, których pierwsze litery złożone powinny dawne przysłowie, powtarzane liczby oznaczają jedno i też same litery.

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.

Z oddzielnych części tej figury ułożyć czworobok prostokątny.



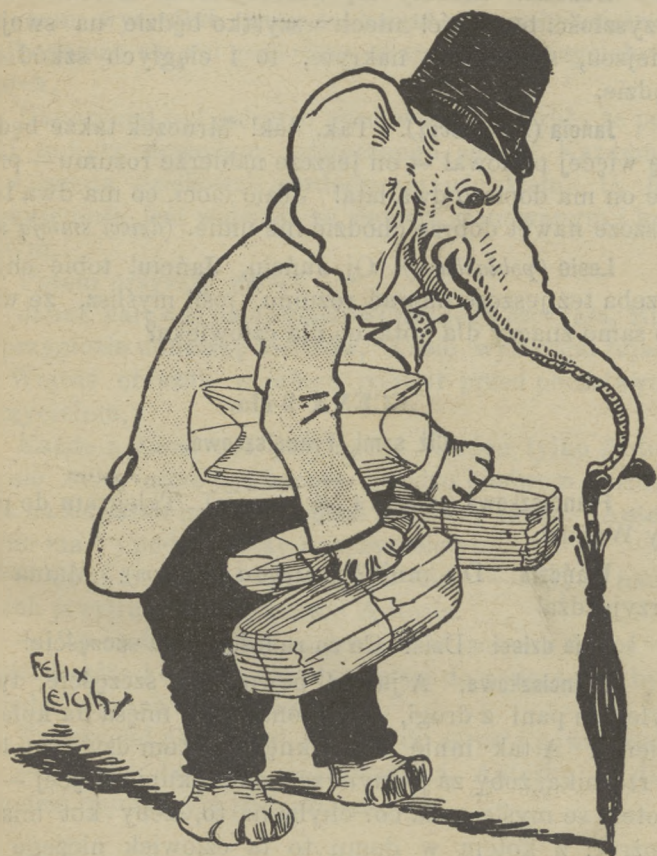
ROZWIĄZANIA DO N-ru 9.

Szarady: Sa — ty — ra.

Zadania konikowego:

Czeladź górską to nie podła,
Lud wysmukły niby jodła;
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki!
Wiecznie niby hoży młodzian,
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany,
A sam wszystkim welną odzian.

Piosnka o słoniu.



Skąd to słoń jegomość idzie?

Tra - la la! tra - la la!

Widać, że nie żyje w biedzie,

Tra - la la! tra - la la!

W swoim fraczku się nadyma,

Tra - la la! tra - la la!

I parasol w trąbie trzyma,

Tra - la la!

* * *

W łapach pełno zawiniątek,

Tra - la la! tra - la la!

To prezenta dla słoniątek,

Tra - la la! tra - la la!

Oj! ucieszą się słonięta,

Tra - la la! tra - la la!

Że słoń o nich tak pamięta,

Tra - la la!

* * *

Mości słoniu, pięknie strojny,

Tra - la la! tra - la la!

Bądź i dla nas także hojny,

Tra - la la! tra - la la!

Bo choć sami trąb nie mamy,

Tra - la la! tra - la la!

Jednak bardzo cię kochamy,

Tra - la la!

WINOWAJCA

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

Wańdzia. Po sprawiedliwości, to i Lesio powinien coś dołożyć — bo czemuż nosił się z kałamarzem i zostawił go na biurku mamy?

Lesio. A czemuż panna Wanda tak śpiewała, że w szkolnym pokoju nic zrobić nie mogłem — po sprawiedliwości, to i ona powinna coś dołożyć.

Wańdzia. No dobrze, już dobrze — złożmy się wszyscy — kiedy to wspólna wina, niech i strata będzie wspól-

na; (w koszu słyhać szmer — *Wańdzia ogląda się po pokoju*). Co to tak się skrobie? czy to mysz?

Jańcia (bardzo zmieszana). Tak, tak, pewnie mysz.

Staś. Bardzo przepraszam, ale ja nie przyznaję się do żadnej winy i nie myślę dzielić strat. Ciekawym, czemu miałbym płacić za cudze niedbalstwo albo roztrzępanie. (*Mruczek porusza się ciągle w koszu*).

Jańcia (widocznie bardzo zakłopotana, mówi głośno, jakby

chciała prętyłumić szelest). Ja zapłacę, ja zapłacę za dwie osoby, bo ja... mam pieniądze... nawet całkiem nie potrzebuję lalki.

Lesio (*ogląda się*). Ale to przecież śmiała myszka, żeby w biały dzień tak plondrować po pokoju, czem one tak szurają? widocznie gdzieś za koszem. (*przystępuje do kosza*).

Jańcia (*z przestrachem*). Nie, nie... gdzież tam! to prędeż ja piecem — słyszę wyraźnie. (*nowy szelest*).

Lesio. Ale co mówisz! za koszem, albo nawet w koszu, może tam Franciszkowa papierów nakładła; rusz-że się raz stamtąd, to się zaraz przekonam.

Jańcia (*nie wstając z kosza*). Kiedy nie, ja wiem dobrze, że nie; ja przecież tu siedzę, tobym słyszała najlepiej.

Staś. Ach, macie o czem sprzeczać się pół godziny, w każdym kącie pokoju mysz się skrobie; wstań Janka i rusz koszem, to mysz, jeżeli jest, wyleci.

Lesio. Ma się rozumieć. (*przystępuje do kosza, Jańcia wstaje z minką zakłopotaną, Lesio posuwa lekko kosz, następnie uchyła wieko, zdziwiony*). A to co?

Staś i Wańdzia. Co takiego?

Lesio (*wyjmuje kota i pokazuje wszystkim*). A pan dobrodziej co tu robi?

Jańcia (*blagalnie*). Puść go! on taki biedny, przestraszony.

Lesio. Ho, ho! powoli; niechno ja pierwszej przeprowadzę śledztwo (*mówi ze sztuczną powagą*): Co pana Mruczysława sprowadza do kosza? Pewno znowu jaka psota.

Staś (*przypatrując się Mruczkowi z nagłym okrzykiem*). Ah, już wiem! to on!

Jańcia (*pospiesznie, usiłując odebrać kota*). Nie, nie! to ja, to ja!

Staś. Ależ on! przecie widzę najdokładniej; ho, ho! mnie nikt w pole nie wyprowadzi; ja mam głowę na sędziego śledczego!

Jańcia. Tak! a przed chwilą twierdziłeś z całą pewnością, że to ja.

Staś. A bo ty, czy on, to przecież na jedno wyjdzie; twój kot.

Wańdzia. Co wy do siebie mówicie takimi zagadkami: ty, on, ja — nic nie rozumiemy o co chodzi.

Staś. Chodzi o to, że nikt inny tylko ten Mruczek nieznośny, przewrócił kalamarz na biurku, a Jańcia wycierała plamy bibułą i schowała swojego ulubieńca aż do kosza, żebyśmy nie zauważyli jego poczernionych łapek.

Lesio i Wańdzia (*przypatrując się kotowi*). Prawda! prawda! całkiem ma powalane łapki.

Staś (*z wymówką*). A widzisz Jańciu! śliczny pożytek z twojego kota.

Jańcia (*prawie płacząc*). Co widzę? nic nie widzę, chyba to, że mój biedny Mruczek za wszystkie cudze winy pokutować musi: Czy to on tak dokazywał w szkolnym pokoju, że Lesio nie mógł zadania napisać? Czy on potem, przez niedbalstwo, zostawił odetkaną flaszeczkę, pełną atramentu na mamy biurku w salonie? A z podwieczorkiem — czy to on winien, że Franciszkowa zostawiła śmietankę nienakrytą, albo że upuściła na ziemię tacę z naczyniem? Jak mama jest w domu, to się takie

ciągle wypadki nie dzieją, bo każdy robi co powinien i pilnuje się... (*urywa zadyszana*).

Lesio. Wiecie, ta mała, to troszkę ma rację.

Wańdzia. A ma — niezaprzeczenie — przy mamie wszystko idzie zupełnie inaczej.

Staś (*niezadowolony*). W końcu wyjdzie jeszcze na to, że powinniśmy Mruczkowi podziękować za łaskawe wypicie śmietanki i wylanie atramentu — bo nas w ten sposób, z pomocą Jańci, oświecił i naprowadził na drogę obowiązków.

Lesio. Podziękować nie — ale darować to mu jeszcze ten jeden raz możemy.

Wańdzia. Złóżmy się wszyscy na nowe sukno a na przyszłość: bacność! niech wszystko będzie na swoim miejscu, schowane, nakryte, to i ciągłych szkód nie będzie.

Jańcia (*z radością*). Tak, tak! Mruczek także będzie się więcej pilnował — on jeszcze nabierze rozumu — przecie on ma dopiero dwa lata! Józio cioci, co ma dwa lata, jeszcze nawet dobrze chodzić nie umie. (*dzieci śmieją się*).

Lesio (*pobłażliwie*). Oj Jańciu, Jańciu! tobie chyba trzeba też jeszcze nabrać rozumu, jeśli myślisz, że wiek to samo znaczy dla kota, co dla człowieka?

SCENA 9-cia.

Ciż sami, Franciszkowa.

Franciszkowa (*wbiega z telegramem*). Telegram do panny Wańdzi.

Wańdzia. Do mnie? (*rozrywa telegram*). Mama dziś przyjeżdża!

Inne dzieci. Dziś? Co za radość! co za szczęście!

Franciszkowa. A jakże! pewnie że szczęście, tylko tyle, że pani z drogi, zgłodzona, a tu mięsa na kolację niema. A tak mnie coś piknęło, jakem dziś rano była u rzeźnika, żeby za jednym zachodem kupić więcej — ale potem se myślę: a na co? chyba na to, żeby kot miał co pożreć; z kotem w domu to ta człowiek niczego nie pewny.

Lesio (*śmiejąc się*). Jest, nowa pretensja do Mruczka! (*dzieci śmieją się*).

Franciszkowa (*obrażona*). Tak! dobrze się państwu śmiać; a co ja dam na kolację? Cały tydzień pani w domu nie była, a teraz bez to, że kota trzymamy, pierwszy wieczór pani głodna spać pójdzie!

Wańdzia. Ej, może to niekoniecznie kot wszystkiemu winien; a zresztą niech się Franciszkowa pocieszy, ja-koś to będzie, może się co w spiżarni jeszcze znajdzie.

Staś. Bierz klucze Wańdziu i chodźmy się zaraz przekonać.

Lesio. Służę pani Franciszkowej! (*chwytając Franciszkową za rękę i zaczyna maszerować ku drzwiom — inne dzieci postępują za nim — Wańdzia ze Stasiem, Jańcia z Mruczkim, przyczem wszyscy śpiewają chórem*).

Zastona spada.

Irena Mrozowicka.

NAJMILSZY PODAREK.

W jednej wsi był stary nauczyciel, którego wszyscy bardzo kochali. Kiedy nadszedł dzień imienin jego, to dzieci i wszyscy ci, których on nauczył czytać i pisać, chcieli sprawić mu przyjemność i złożyć dowód swego przywiązania i wdzięczności. Każdy więc przyniósł mu w darze to, co miał najlepszego.

Najpierw przyszedli do niego ze swoimi podarkami starsi. Jeden przyniósł śliczną kurę, drugi fajkę z drzewa śliwowego, trzeci koszyk owoców, czwarty laskę, którą sam wyrzeźbił, piąty dał książkę do nabożeństwa, a najbogatszy we wsi gospodarz ofiarował nauczycielowi zegarek.

Nauczyciel był szczerze uradowany, bo czuł, że podarki te były dowodem wdzięcznego serca. Każdemu też z osobna dziękował serdecznym uściskiem. O, bo to przyjemnie jest widzieć, że się jest szanowanym i kochanym.

Potem przyszedli dzieci.

Janek darował nauczycielowi swojego szczygła, Mania przyniosła doniczkę kwiatów, Kazio wystrugał fajkę, Wojtuś obrazek w ramce położył przed pocziwym nauczycielem.

Każde z dzieci coś przyniosło. Jeden tylko Antos nie miał, gdyż był bardzo, bardzo biednym sierotą. Więc na kawałku papieru napisał te cztery słowa: „Antos nie ma,” i podał kartkę nauczycielowi.

— Co to za plamki są na twoim liście? — zapytał nauczyciel, przyjrzawszy się kartce Antosia.

— To są ślady łez — odpowiedział szczerze Antos — ja pana bardzo kocham i kiedy pisałem do pana, to mi było bardzo smutno i płakałem.

Nauczyciel przycisnął Antosia do serca i powiedział:

— Twoje dwie łzy wdzięczności, Antosiu, są dla mnie dziś najmilszym podarkiem.

Janusz.

Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

— No, no, nie jestem tego zupełnie pewny. Ale teraz nie mamy czasu na próżne słowa. Słuchaj mnie uważnie, a potem zrób wszystko, co ci każę.

— Wszystko, co tylko zechcesz, byle tylko dowieść, że Piotruś jest niewinny.

— Za parę dni zawołają cię przed sąd. Tam będą cię pytali, czy Piotruś miał przy sobie jakie pieniądze, jakie oszczędności...

— Ale... — przerwała Basia...

— Daj mi dokończyć. — Odpowiesz, że tak. Spytają cię ile. Powiedz śmiało: dziesięć rubli, złoty pieniądz dziesięciorublowy; czy rozumiesz dobrze? Powiesz także, że ci pokazywał ten pieniądz w dzień Nowego Roku.

— Ale to nieprawda! — zawołała Basia. — Ja nie mogę tego powiedzieć, bobym skłamała.

— A więc skłamiesz, wielka historia.

— Nie, nie, ja nie chcę kłamać, ja nie mogę. Piotruś także nie zgodziłby się na to.

— A więc rób jak chcesz; ale wiesz, że Piotruś może całe życie siedzieć w więzieniu, albo jeszcze zesłać go...

— Ześlą! O Boże! — jęknęła Basia.

— Naturalnie, kiedy nie chcesz nawet palcem kiwnąć, żeby go ocalić.

— Co tu robić? co robić — łkała Basia, łamiąc ręce. Jakóbku, czy niema innego ratunku?

— To się wie, że niema.

— Ale Piotruś mówił mi tyle razy, że nie trzeba nigdy źle robić nawet dla dobrego celu, że źle i brzydko jest kłamać. Ja powiem, że Piotruś jest niewinny, że ja jestem pewna tego, że ja przysięgnąć mogę.

— Głupie gadanie; twoja przysięga to żaden dowód dla sędziego. Jedna tylko jest rada, powiedz, że miał dziesięć rubli, że ci to mówił, że ci ten pieniądz pokazywał.

— Ach, czemuż to nie może być prawdą?

— A teraz dobranoc! Rób co ci się podoba; dałem ci dobrą radę i umyłam już ręce od całej tej historii.

To mówiąc Jakóbek odwrócił się i po chwili zniknął we mgle.

Basia chciała jeszcze biedz za nim, ale zdrętwiała od mrozu, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Powoli zebrała siły i zaczęła iść w górę. Gdy doszła na plac, było już po północy. Mgła stawała się coraz gęstsza. Przytuliła się do ściany, żeby nie widział jej przechodzącej ulicą policyant; bała się teraz wszystkiego, drżała za najmniejszym szelestem kroków ludzkich. Nareszcie doszła do swego schroniska na strychu i tam przy swem posłaniu upadła na kolana, dziękując Bogu, że ją wybawił z największego niebezpieczeństwa, jakie jej kiedy groziło. Oto znalazła się blisko ludzi niewątpliwie złych, narażona na mimowolne podsłuchanie ich tajemnic; gdyby ją byli spostrzegli w ukryciu, kto wie, co by z nią byli zrobili a Jakóbek był ich współnikiem, Jakóbek należał do szajki złodziei.

Basia miała ochotę pójść nazajutrz do tej panienki, co taka dla niej już raz była dobra, opowiedzieć jej wszystko, poradzić się.

Trzy razy była na tej ulicy i pod samymi drzwiami jej mieszkania, ale za każdym razem cofała się, bo jakże jej zdobyć się na odwagę powiedzenia, że Piotruś jest w więzieniu, że oskarżony jest o kradzież! — Nie, tego wstydu ona nie przeniosłaby nigdy!

— Oto list dla ciebie, listonosz przyniósł go dziś rano — mówiła Walentowa do Basi, wracającej w południe z miasta. — Ale oddaj mi sześć groszy, bo tyle musiałam mu zapłacić.

Dziewczynka przeszukała swą kieszonkę, lecz nie w niej nie znalazła — od dwóch dni nie zarobiła ani grosza, nie miała nawet na kawałek chleba dla siebie.

— Śpiesz się mala! nie mam czasu czekać. Nie każdy taki próżniak, jak wy dzieciaki. A może nie chcesz tego listu, to go oddam napowrót, póki jeszcze nie rozpieczętowany.

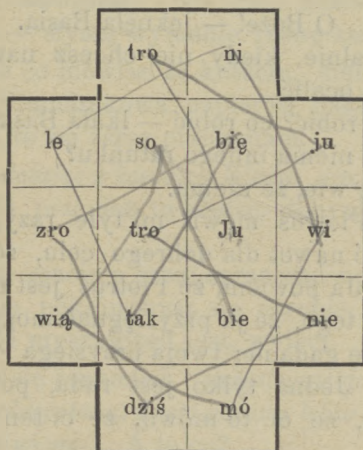
(d. c. n.)

METAGRAM.

Chociaż przez *d*, jest wodą w każdej roku porze
Jednak przez *l*, choć ryba, pływać w niej nie może.

ZADANIE KONIKOWE.

Charlemagne dla Wieczora.



ROZWIĄZANIA DO Nru. 9-go.

Szarady: Mi — cha — li — na.

Łamigłówki literowej:

Co było a nie jest,
Nie pisze się w rejestr.

Skrzynka do listów.

Rysi Kr. posyłamy zaginiony numer. Prosimy bardzo, abyś nam przysłała opisy, gdy zwiedzać będziesz ciekawe okolice Zaporozża.

Wołyniakowi z nad Słuczy. Niektóre książki są jeszcze do nabycia. Najlepiej przyjdź po nie do Redakcyi, skoro jesteś teraz w Warszawie.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Stefan Mal., Zygmunt Mysł., Zwinny Jelonek, Jontek, Mały Wołodzyjowski, Zosia Mich., Teresa Bem., Wołyniak z nad Słuczy, Biały Sokół, Niezapominajka, Jodelka, Skrzetuski i Sokole Oko, Żabka z Pawołoczy, Kujawianka, Uczniaczek, Prządka złotych nici, Dnieprowe Fałe i Leonidas.

P. Annie R. Powiastka pani wkrótce pomieszczoną zostanie, jak również zagadka Switezianki.

Kochanemu Inżynierowi za kartki bardzo dziękuję, uśmiełam się serdecznie z naszej wspólnej pomyłki. Przepraszam ciocię, że odezwałam się do niej w mej kartce, jakby do waszej małej siostrzyczki Heli. Miechowitę pozdrawiam, mam nadzieję, że już przyszedł do zdrowia.

Plisze również dziękuję serdecznie za trzy karty z ładnymi widokami, wkrótce znów przypomnę się jej pamięci.

Szarotce z nad Bohu. Redakcja ma stałych współpracowników i tłumaczy. Możesz nam przysłać swoje próby, do przeczytania. Redakcja wyjątkowo tylko pomieszcza utwory swych młodocianych czytelników.

W Kujawiance witam nową korespondentkę, a dla lepszego zaznajomienia proszę cię o dłuższe, i o ile czas pozwoli, częste listy. Panienki, o które zapytujesz, znam tylko pod pseudony-

mami, więc ci ich imienia i nazwiska powiedzieć nie mogę. Szaradę złożyłam w Redakcyi.

Ani karnawał, ani bale nie były przeszkodą, że czasem spóźniam się z odpowiedzią, ale jak to musiałeś nieraz czytać **Tęskny Słowiku** nie na wszystkie listy mogę co tydzień odpisywać, bo trudno zająć zbyt wiele miejsca „Skrzynce do listów,” gdy tyle innych rzeczy pomieścić trzeba w naszym piśmie. Konkurs na szycie i roboty szydelkowe ogłaszamy na wakacje, bo wtedy panienki więcej mają czasu na zajęcia ręczne. Starsza jestem od ciebie, ale jeszcze nie tak sędziwa staruszką, jak ci się wydaje.

Nie zapominałam cię **Muszko Ukraińska**, bo taką mam pamiągę, że gdy raz zapiszę do niej którą z was, już jej ztamtąd wymazać nie łatwo. Więc i o tobie nie zapominałam i rada jestem, żeś się „ośmieliła” po dłuższym milczeniu odezwać ponownie. Sukienka i fartuszek twej roboty, jako też 2 rub, które przysłałyście wspólnie z młodszą siostrzyczką, wręczone zostaną najbardziejniejszym. Żądanej książki niema, wzamian posyłamy inną.

Trudno było wymienić na tem miejscu tytuły wszystkich dzieł Kaczkowskiego, niechaj **Leonidas** zajrzy do któregośkolwiek podręcznika literatury polskiej lub encyklopedyi, a znajdzie tam odpowiedź na swe pytanie. Obecnie wychodzi nowe ich wydanie. Zadania złożyłam w Redakcyi. Zadanie konikowe sprawdzimy.

Wdzięczną ci jestem **Prządka złotych nici**, że w chwili smutku i tęsknoty, po wyjeździe ojca i brata pomyślałaś o mnie i żadasz kilku słów pociechy. Każde rozłączenie z drogimi nam szczególnie w pierwszych chwilach bywa bardzo przykre, trzeba się jednak cieszyć nadzieją powrotu, a czas rozłąki starć się zapęlić pożytecznie pracą i rozrywką. Praca, to najlepszy lekarz na smutek i tęsknotę, a że gorliwie zabierasz się do lekcji, nie wątpię, że wstyd przynosząca dwójka w twym dzienniczku nigdy się nie znajdzie. O przybory do łapania motyli niech się **Uczniaczek** zapyta w magazynie zabawek i gier dla młodzieży.

Danusi. Różnica między strojem krakowianki i kujawianki jest niewielka, inny bywa krój gorsetu, różnią się też spódnice, krakowianki bywa nazywana kilka razy u dołu kolorowymi wstążkami, kujawianki zaś noszą wzorzyste spódnice, tak zwane welnianki własnej roboty, a na głowie wiążą wełniane chusteczki, krakowianki wplatają w warkocze wstążki.

Rada jestem z bliższego poznania **Choinki**, które ułatwiłaś mi sama, donosząc bliższe szczegóły o sobie i braciszkach w ostatnim liście. Wystawiam sobie, że twój dwuletni braciszek jest bardzo miły, a wy oboje znacznie starsi od niego, musicie go bardzo pieścić. Ze wszech stron dostaję zapytania o tajemnicę sir Warburton'a, ale żadnej odpowiedzi dać nie mogę, bo i sama oczekuję z ciekawością jej wyjaśnienia.

Jaskółka.

Na wieżę Jasnogórską w Red. Wiecz. Rodz. złożyli:

Jagienka rub. 2. — Ludwiś, Artoś Makowiec, Zenia, Wala, Zygmus, Halinka i Leokadya Malkiewicz, Piotr Szwylan: r. 2. Salomea Jasińska rub. 2. — Irenka Skrzydlewska kop. 30.

Na kościół Zbawiciela:

Marya Balińska rub. 3. — Z. D. kop. 25. — Irenka Z. kop. 25. — Kazita kop. 50. — W. N. kop. 50. — S. N. kop. 50. — H. N. kop. 50. — Bezimiennie kop. 50. — W. D. rub. 1. — E. M. kop. 50. — W. D. kop. 50.

Dla najbardziejniejszych:

Muszka i Zuczek Ukr., na ręce Jaskółki przysłali rub. 2.

WYMIANA ILUSTR. KART POCZTOWYCH.

Henryk Świerczewski (Pińczów gub. Kielecka); Teresa Tur-ska (Wilkośzewice, poczta Gorzkówice Dr. Ż. W. W.) proszą o nadsyłanie ilustr. kart pocztowych, które też w zamian przysyłać będą.

Uwaga Redakcyi. Dla dogodności czytelników „Wieczorów,” zbierających piękne karty pocztowe, pomieszczamy bezpłatnie ogłoszenia prenumeratorów naszych o wzajemnej wymianie takich kart, za listownem zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.